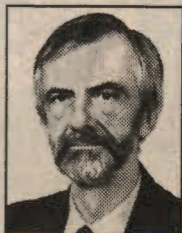


**RYSZARD TERLECKI**



# Boży dopust

Nie oglądałem serialu „Boża podszewka”, ponieważ nie wierzyłem w reżyserskie talenty pani Cywińskiej. Awantura, jaka wybuchła w prasie wokół jej filmu sprawiła, że zmusiłem się do obejrzenia trzech odcinków. Widziałem również telewizyjną dyskusję o filmie z udziałem pani reżyser.

W tej dyskusji Cywińska wyrażała zdziwienie i oburzenie faktem, że protesty, które ze strony środowisk kresowiaków napłynęły do telewizji, pisane były już po pierwszych dwóch - trzech odcinkach. Dlaczego - pytała - ich autorzy zamiast poznać cały film lub przynajmniej większą jego część, tak pochopnie i niesprawiedliwie formułują swoje opinie?

Otóż, ja też zobaczyłem tylko trzy - choć nie pierwsze, a środkowe odcinki - i to zupełnie mi wystarcza do uznania, że publiczna telewizja wyrzuciła pieniądze na bezwartościową szmirę. A pieniądze wydane na ten film pochodzą m.in. z abonamentu, który my, telewidzowie, płacimy co miesiąc. Tym bardziej uzasadnione jest więc powszechne oburzenie na finansowanie filmowej grafomanii byłej pani minister.

W „Bożej podszewce” Wilno zbudowane jest z rozpadających się ruder, odrapanych i tonących w błocie. Jego mieszkańcy to tłum ponurych dzikusów, pokraccznych, bezzębnych i brudnych. Kobiety w filmie są wszystkie brzydkie i rozczochrane, a ponadto sprawiają wrażenie, jakby ubierały się w najniższej kategorii sklepach z używaną odzieżą na wagę. Tylko sowieccy żołnierze maszerują po Wilnie w lśniących i podkutych butach, z czego wnioskuje, że reżyserka nie zadała sobie trudu przeczytania jakiegokolwiek historycznej relacji.

Bohaterem filmu jest stetryczwały safandula (polski sędzia), bohaterką niezrównoważona idiotka (jego żona). W jednym z odcinków wydawało się zresztą, że pogrąży się ona bezpowrotnie w chorobie psychicznej (scena w rwącym nurcie rzeki). Wróciła ona jednak do zdrowia, za to w końcówce odcinka wzięła udział w erotycznej scenie, rozgrywającej się na środku błotnistej drogi. Inwencja reżyserki wydaje się niewyczerpana.

Sędzia i jego żona najczęściej przesiadują w zagraco-nym pokoju albo biegną gdzieś przez wyludnione zaułki (żeby było śmieszniej, ciągną za sobą uwiązaną na sznurku kozę). Filmowe obrazy przelatują w pośpiechu, kamerzysta najchętniej posługuje się zbliżeniami, równocześnie wymachując kamerą, co sprawia, że już po chwili telewidza bolą oczy. Nie wiadomo, za co wziął pieniądze scenograf, skoro tłem większej części wileńskich scen są brudne i za-grzybione mury. Z kolei w Juryszkach podziwiamy gustomne rupieciarnie, mające wyobrażać wnętrza szlacheckich dworów lub domów bogatych włościan.

Wiele sekwencji naśladuje stylistykę przedstawień Kantora, ponieważ autorom filmu wydaje się, że wystarczy zmałpować coś, co swego czasu uchodziło za modne wśród recenzentów, aby samemu odnieść sukces. Nie rozumieją, że publiczność awangardowego teatryku różni się od wielomilionowej widowni niedzielnego serialu w telewizji. Jednak artystyczny kicz bynajmniej nie przestaje być kiczem. A realizatorom zdarzają się nawet tak elementarne błędy, jak obecność mikrofonu w jednej ze scen, opuszczającego się nad głową bohaterki. Telewidzom nie pozostaje nic innego, jak poszukać czegoś sensownego na innym kanale albo udać się na wieczorny spacer.